

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieła zupełne Lavoisier'a, wydawane przez członka instytutu Dumasa.—Wiktora Hugo list do genewskiego pastora pana Bost.—„Rozmowy Goethego z Eckermannem.”—„Balzak” przez pana de Salles.—„Les Ganaches” komedya pana Sardou.—Monte-Cristo.—Otwarcie Teatru Lirycznego.—Teatr Włoski.—Frezzolini, pana Patti z Ameryki.—Wiadomości literackie.

Wypadki naukowe rzadkie są w tej chwili. Paryż stanąwszy na progu dzielącym rok stary od nowego, tylko o interesach i zabawie myśli. Próznobys szukał innego kierunku w umysłach, chociaż rozbudzonych i wyteżonych niezmiernie. W grudniu i styczniu zazwyczaj ani jedna głowa spokojnie nie zajmuje się tu badaniem rzeczy trwałych. Przyjęty obyczaj, obowiązki domowe i społeczne, stanowczo się temu sprzeciwiają. Sam nawet senat nauki obradujący w pałacu Mazarina, w tym miesiącu zajęty wyłącznie wyborem kommissyi mającej odczytywać i oceniać rękopisy nadsyłane przez autorów konkurujących o akademickie nagrody, nie ma czasu zajmować się nauką bezpośrednio. Nadto, żywo teraz zaprzęta akademików wybor nowych kolegów, mających zasiąść dwa fotele opróżnione skonem pp. Senarmont i Gasparin, w dziale mineralogii i ekonomii rolniczej; które to zajęcie, poziom myśli uczonego grona równa poniekąd z poziomem umysłowym zajętej interesami powszechności: czas poświęcony takim zabiegom, musi być stracony dla nauki.

W podobnych okolicznościach podwójnie ważnym wypadkiem staje się wydanie dzieła pomnikowego, którego tom pierwszy professor chemii Dumas, złożył akademii

na ostatniem posiedzeniu. Chcemy mówić o *Dziele zupełnem Lavoisiera*, nad którego skompletowaniem uczony profesor skrzętnie od lat dwudziestu pracuje. Praca to ogromna, trwała i pożyteczna; dlatego, odsuwając na stronę wszystkie ulotne płody literatury pięknej, od niej nasze noworoczne sprawozdanie rozpoczynamy.

Godny następca uczonego męża, zbyt wcześniej zabranego nauce przez huragan rewolucyjny, wziął sobie za zadanie życia zgromadzić, uporządkować i wydać wszystkie drukowane i niedrukowane papiery, na których Lavoisier dociekania swoje spisywał. Rodzina zmarłego dostarczyła Dumasowi mnóstwo notat naukowych i regestrów astronomicznych, które zostawały długo w ręku Franciszka Arago.

Nagromadziwszy stosy takich papierów, Dumas namyślał się nad sposobami ich ogłoszenia. Jeden z wydawców paryzkich chciał drukować swoim kosztem; rodzina upatrując zyski, chciała sama ponieść kosztu wydawnictwa. Pogodził wszystkich minister Rouland, oświadczając: „iż do państwa należy spłacenie świętego długu, który kraj i nauka winne są geniuszowi i nieszczęściu.”

W skutek tego zawiadomienia, Dumas natychmiast przedstawił ministrowi plan wydawnictwa dzieł zupełnych Lavoisiera. Pan Rouland takowy potwierdził (4 lutego 1861 r.) i wraz z żądaniami na druk funduszami, Dumasowi odesłał.

Puszczony dziś w obieg tom wyszły z drukarni cesarskiej, jest drugim z rzędu. Wydrukowano go pierwój dlatego, że zawiera główną, najważniejszą część dzieła: składa się z sześćdziesięciu memoryałów spisanych pomiędzy 1770 a 1792 rokiem. Dumas ułożył je porządkiem chronologicznym, przekładając takowy nad porządek metodyczny, który sam Lavoisier potępił, kiedy zamierzał wydać zupełne dzieła swoje.

Składając ten tom akademii, Dumas temi słowy scharakteryzował dzieło: „Przed ośmdziesięciu laty podstawą chemii były jeszcze teorye Arystotelesa; najpospolitsze, a zarazem najważniejsze zjawiska świata fizycznego niewytłumaczone, zostawały pogrążone w ciemnościach; chemik za przewodnika miał tylko zbiór recept empirycz-

nych: sztuki, rolnictwo, nauki przyrodzone, nie brały z nich ani światła, ani kierunku, ani żadnego wpływu. Dziś, zaledwie dwa pokolenia chemików przeminęły od śmierci Lavoisiera, trudno zliczyć mnogie dobrodziejstwa, jakie otrzymała ludzkość wiedzona światłem zapalonem przez niego, a którym on rozjaśnił naturę, konstytuował ciała zbiorowych, całe państwo nauk fizycznych i przyrodzonych, rolnictwo i higienę publiczną.

„Inni uczeni poznajomili człowieka z niebiosami, odślonili przed nim najdawniejsze rewolucye globowe, ale żaden z nich, tak jak Lavoisier nie uposażył ludzkości w narzędzie rozumowania, analizy i czynu, mogące zarazem dać niezachwianą podstawę filozofii naturalnej, definiować zasady wszystkich jestestw, i dostarczyć nowych sił twórczych, które dotąd nie znalazły granic.

„Tom, który składał, rzekł w końcu Dumas, zupełnie odpowiada dzisiejszym potrzebom uczącej się młodzieży: dostarczy on jej najlepszych wzorów do doświadczeń. Nikt lepiej nie nauczy stawiać kwestyi, odpowiadać na nią jaśniej rozumowaniem geometrycznem, jak również wywodzić jej następstwa z logiką ścisłą, którą czy myśl się wznosi czy zniża, zawsze czuć daje, że się opiera na stałym gruncie prawdy.”

Słyszac tak wielkie pochwały składane przez potomność ogromnej intelligencji uczonego męża, najmocniej się czuje, jak występna omyłka rewolucyi była śmierć Lavoisiera. Trudno dziś pojąć, jak namiętności polityczne mogły nie zamilknąć w obec takiej potęgi naukowej, w obec dobrodziejstw, jakimi ludzkość uposażała. Tém mniéj to pojąć można, że jedyną zbrodnią ojca chemii dzisiejszej, był wielki majątek, cały poświęcony doświadczeniom i ludziom, którzy razem z właścicielem, naukę wspierali. Innych zarzutów nie dostarczyła potomności historia przeciw uczonemu urzędnikowi (*fermier général*) skazanemu na śmierć przez Trybunał rewolucyjny.

Następujący fakt daje najlepsze pojęcie o pogodzie umysłu niewinnej ofiary. Skoro się dowiedział o wyroku śmierci, Lavoisier nawet w więzieniu jedynie nauką zajęty, podał do władzy prośbę „zeby mu dozwolono skończyć

pracę, którą za pożyteczną dla kraju uważa". Fouquier-Tainville odpowiedział mu „iż rzeczpospolita nie potrzebuje ani uczonych ani chemików, że zatem, bieg *sprawiedliwości* nie będzie przerwany”.

Gwałtowny oskarżyciel publiczny, zwał zgładzenie Lavoisiera *sprawiedliwością*. W obec takich wspomnień, potrzeba natychmiast zwrócić myśl do wiecznie trwałych zdobyczy owęj epoki, wielkiej wszechstronnie, mimo zbrodni obłąkanych swych dzieci, które tak oceniały jak Tainville, dzieła naukowe umysłu ludzkiego.

Wymieniając zalety dzieł Lavoisiera, Dumas nie przesadził. W tomie, o którym mówił, widzimy już narodzoną całą chemią tegoczesną, nieprzeliczonemi zastosowaniami zdumiewającą świat. W czasach kiedy Lavoisier rozpoczął swoje badania, to jest na dwadzieścia lat przed wielką rewolucją, nie znano jeszcze składu wody, nie wiedziano co jest powietrze. W roku 1770 wziął pod rozwagę pytanie: „czy woda zmienia się, czy nie zmienia w ziemię, przez długie gotowanie?” To był punkt wyjścia, początek długiego szeregu badań, które zreformowały filozofią naturalną, a inaugurowały chemią dzisiejszą.

Wszystkie odkrycia Lavoisiera rozwijają się logicznie. W pierwszym rozdziale studyów swoich zadaje wyżej przytoczone pytanie. W następującym, już poznał rozmaite kwasy i rozgatunkował; dalej określa sole wynikające z rozpuszczanych temi kwasami kruszców; dalej, wszystkie formy palenia, niewylaczając oddychania, są studyowane i uporządkowane pod wpływem jednego odziaływania.

W następnych tomach nie tylko chemia mineralna jest poddana prawom pewnym, ale i natura ciał organicznych docieczona. Medycyna ztąd obszerniejsze spostrzega horyzonty; chemia staje się przewodniczą rolnictwa.

Tak rozległa wiedza mogłaby wsławić nie jednego, ale kilku uczonych.

Ostatnie tomy zawierają nomenklaturę chemiczną, do której tylko z czasem dodano wyrazy potrzebne do oznaczenia nowszych wynalazków.

Oburzający fakt stracenia Lavoisiera przywodzi na myśl list, który Wiktor Hugo napisał w tych czasach do

genewskiego pastora p. Bost, w odpowiedzi na odezwe jego wzywajacą, ażeby geniuszem swoim oświecił rozprawy nad zniesieniem kary śmierci, majace się toczyć z okazji poprawienia konstytucyi genewskiej. Odpowiedź Hugona nie jest właściwie listem, ale świetnym adwokatowaniem sprawy, której autor *Ostatnich dni skazanego* od pół wieku broni z genialnym zapalem człowieka czujacego słusznosc po swojej stronie.

Z rozprawy tej, która niedługo będzie czytana i roztrząsana na zgromadzeniu prawodawców najświetlejszego zakątka ziemi, a może nawet stanowczo wpłynie na ich postanowienia, przytaczamy tutaj kilka ustępów:

„...Genewa ma obradować nad karą śmierci! wzywasz pan mnie na pomoc, przybiegam. Ale nie lędz się, proszę co do ważności mojego wpływu. Czasami zdarzyło mi się wygrać, częściej przegrać. Wiele szlachetnych umysłów poświęca się tej sprawie. Dziesięć miesięcy temu, wspólna myślna prasa belgijska popierając energicznie moje wstawienie się za skazanymi z Charleroy, zdołała ocalić siedm głów na dziewięć.

„Pisarze XVIII wieku zniesli torturę; pisarze XIX zniosli niewątpliwie karę śmierci. We Francyi już skasowali obcinanie pięści, piętnowanie, i wprowadzili wyborny środek tymczasowy *okoliczności łagodzące*. „Niegodziwym to książkom, jak *Ostatnie dni skazanego*, prawil deputat Salverte, zawdzięczamy szkodliwe wprowadzenie *okoliczności łagodzących*.” Jakoż, są one początkiem zniesienia kary śmierci; są one tém w prawie, czém siekiera w dębie. Pochwyćmy boski młot i kujmy wciąż, a rozsadzimy pień...

„Zwolna, nie przeczę, potrzeba czasu. Ale usiłujmy, bo usiłowania nawet w szczegółach nie stracone. Oto dowód.

„Przed ośmiu laty, w Guernesey, niejaki Tapner został skazany na powieszenie. Wdałem się w tę sprawę: podanie o ulaskawienie podpisało sześciuset znaczących obywateli wyspy. Mimo to, powieszono człowieka. Ale, posłuchaj. List mój pisany do Guernesejczyków, ogłosili dzienniki europejskie, a za niemi amerykańskie. Właśnie w Kanadzie miano wieszać niejakiego Juliana. Kanadejczycy uważali list mój jakby do siebie pisany, i przez opa-

trzne zrządzenie, list ów zbawił, nie Tapnera do którego mierzył, ale Juliana, do którego nie mierzył. Przytaczam ten fakt na dowód potrzeby wytrwania. Niestety! Miecz trwa!...

....„Ludzie! Trzebaż powtarzać wam ciągle, że ów winowajca do upamiętania się, odpokutowania, do zdjęcia z duszy ciężkiej odpowiedzialności, potrzebuje całej reszty życia? Wy mu dajecie kilka minut! Jakiem prawem? Jak śmiecie brać na siebie groźną odpowiedzialność skracania boskiego zjawiska żalu za grzechy? Czy zdajecie sobie sprawę z tej odpowiedzialności przez was potępioną, a która ku wam się odwraca i staje się waszą. Zabijacie więcej niż człowieka: zabijacie sumienie. Jakiem prawem stawiacie się bogiem-sędzią przed czasem? Czy ta sprawiedliwość do was należy? Jedno z dwojga: albo wierzycie, albo nie wierzycie. Jeżeli wierzycie, jak śmiecie rzucać nieśmiertelność wieczności? Jeżeli nie wierzycie, jak śmiecie rzucać istotę w otchłań nicestwa?

„Jest zbrodniarz który uczynił następne rozróżnienie: „Nie powinno się mówić *egzekucya*, wypada mówić *reparacya*. Społeczność nie zabija lecz *odcina*”. My, ludzie świeccy nie rozumiemy takich subtelności...

....„Kara śmierci ma dwojakich stronników: tych co ją tłumaczą i tych co ją stosują, czyli innemi słowy, tych co biorą na siebie teorią i tych co biorą na siebie praktykę. Otóż, teoria nie zgadza się z praktyką. Ażeby znieść karę śmierci, dość posłuchać ich sprzeczności. Ci co chcą kaźni, chcą jej, dlaczego? czy dlatego że kaźnia jest przykładem? Tak, odpowiada teoria. Nie, odpowiada praktyka; i chowa rusztowanie jak najstaranniej; kasuje Montfaucon, publicznych obwoływaczy, unika dni targowych, stawia swoją mechanikę o północy, a ścina do dnia. W niektórych krajach, w Ameryce i w Prusach, wieszają i ścinają przy drzwiach zamkniętych. Czy dlatego, że kara śmierci jest sprawiedliwością? Tak, odpowiada teoria: człek był występny, został ukarany. Nie, odpowiada praktyka: mężczyzna został ukarany, to dobrze; umarł, dobrze; ale cóż to za kobieta? To wdowa. A cóż to za dzieci? To sieroty. Śmierć je za sobą zostawiła. Wdowa i sieroty, czyli *ukarani a niewinni*. Gdzież jest twoja sprawiedliwość? Jeżeli

kara śmierci nie jest sprawiedliwą, czy jest przynajmniej użyteczną? Tak, powiada teoria: trup zostawia nas w spokoju. Nie, powiada praktyka, bo ten trup przekazuje nam rodzinę, rodzinę bez ojca, rodzinę bez chleba... a oto wdowa sprzedaje się dla życia, a oto dzieci kradną z głodu.

„Dumolard złodziej i rozbójnik, był sierotą po straconym ojcu. Lżono mnie za to, że śmiało utrzymywać, iż to jest okoliczność łagodząca.

...„Cóżkolwiekby, znowu będziecie dyskutowali tę ogromną kwestię. Niech ludzie sprawiedliwi zażarcie opierają się przy zniesieniu. Nie ma narodu małego. Mówiłem to niedawno Belgii, dziś powtarzam Szwajcaryi. Wielkość narodu nie mierzy się liczbą, równie jak wielkość człowieka wzrostem. Jedyną miarą jest ilość inteligencji i ilość cnoty. Kto daje wielki przykład, jest wielkim. Małe narody będą wielkimi w dniu, w którym obok narodów silnych liczbą i rozległych przestrzeni, a upierających się przy fanatyzmie, przesadach, nienawiści, wojnach, niewoli i śmierci, będą pełniły łagodnie a wspaniale, braterstwo; znienawidzą miecz, wywrócą rusztowanie, i uśmiechać się będą jak pogodne niebo. Słowa są czcze, jeżeli nie ma pod nimi myśli. Nie dość być rzecząpospolitą, trzeba być do tego wolnością; nie dość być demokracją, potrzeba być ludzkością. Lud powinien być człowiekiem, a człowiek duszą.

„W chwili kiedy Europa się cofa, niechaj Genewa postępuje. Znieście u siebie karę śmierci; byłoby wzniośle odżywić w nowym kształcie stare współzawodnictwo; podać pod oczy i pośrednictwo ucywilizowanego świata: po jednej stronie Rzym, który skazuje i potępia, po drugiej Genewę, która przebacza, wedle Ewangelii.

„O, ludzie genewski! Miasto twoje stoi nad rajskim jeziorem; przebywasz w miejscu błogosławionem; wszystkie cuda natury cię otaczają. Kontemplacja *piękna* odsłania prawdę, nakłada obowiązki. Oświata winna być harmonią jak przyroda. Poradź się tych wszystkich cudów łaskawych; wierz w swe błękitne niebo: dobroć płynie z lazuru. Ludu! nie bądź niewdzięczny. Niech nie będzie powiedziano, że w tym zakątku ziemi, gdzie Bóg pokazuje ludziom tajemnicze splendory Alp, Ronu, niebie-

skiego Lemanu i Białej góry w słonecznej aureoli, człowiek na podziękę, w zamian pokazuje Bogu *gilotynę*."

„*Rozmowy Goethego z Eckermannem*” wyjęte i przetłumczone z pism niemieckich przez profesora Charles, czytane są w Paryżu z zajęciem. Chociaż wielki poeta niemiecki był już sto razy odmalowany przez biegłe pióra, Francuzi obojętni dla wszystkich zagranicznych bohaterów i gieniuszów, znają go mało. Tylko w potocznej, jeżeli można, anegdotycznej formie opowiedziane dzieje wielkiego męża nie we Francyi urodzonego, znajdują tu czytelników; życiorys poważny, jeżeli jeszcze, broń Boże, będzie naukowy, przechodzi zwykle przez Francją z nierozciętymi kartami. *Rozmowy z Eckermannem* mają właśnie pożądaną cechę potoczności: Goethe odmalowany przez siebie samego, wart, żeby mu się bliżej przypatrzeć.

Dla poznajomionych dobrze z dziełami i osobą twórcy *Fausta*, rozmowy jego też mają powab: jeżeli nie odmieniają pojęć o nim powziętych, dopełniają je. Jestto ostatnie słowo o Goethem. Tu po raz pierwszy jasnieje cała doktryna poety po jego dziele rozsiana; o życiu prywatnem Goethego nie dowiadujemy się nic nowego z tej książki, ale uwiecznia ona historią jego myśli w bardzo nadobnej ramie.

Poeta-filozof mówi o wszystkiem z pogodą olimpijskiego boga a naucznością rabina. Gadać o Pelazgach, o współczesnych Ptolomeusza, czy o nowatorach 1825 r. z okazji naukowej wzmianki, lub odebranego listu, to dla niego wszystko jedno. Czujesz, że to co Goethe mówi, nie jest mozolnym produktem pracy i namysłu, jak na przykład korespondencya Pliniusza, ale łatwą improwizacją wszechwiednego umysłu. Żadnych przyborów, ani obrachowań — wszystko proste i łatwe; sądy idą jedne za drugimi, jak wyroki bez appellacyi, bo wydane z krwią zimną. W obec takiej mowy, przesady pryskają jak przed światłem cienie.

Referent tych wyroków Eckermann, syn hannowerskiego chłopca, nie orzeł, ale prostaczek, którego jedyną cnotą cierpliwość i ślepe do Goethego przywiązanie, nie

dodając nic swego, dodał książce wagi. Bystrzejszy sekretarz byłby pewnie nie oparł się pokusie haftowania kwiatków, na pańskiej kanwie. Ten pocziwiec przypominający Faustowego Wagnera, byłby sobie za śmiertelny grzech poczytał każdy dodatek; zadanie jego ograniczało się na pracowitem zbieraniu i notowaniu każdego słowa, które z ust Goethego upadło. Potulny powiernik nie żądał innej roli, jak tę, którą odegrywał przy Sofoklesie starożytny Polemon.

Skromna zasługa odebrała zapłatę: sekretarz przejdzie z poetą do potomności; pomnik jest Goethego, ale Eckermann go postawił. A sztuka to nie lada! Słowa Goethego latały jak motyle: zaledwie dotykając kwiatów, wysysały ich wonną duszę; ledwo dotknął przedmiotu, już go wyczerpał i zdefiniował kilką wyrazami rzuconemi nawiasem. Estetyka jego sformułowana zawsze w niezaprzeczoną zasadę; zdania potwierdził rozum i doświadczenie powszechne. Nigdy namiętność nie kazi jego niezachwianej godności, nie pozwalającej sobie ani szyderstwa, ani goryczy. Nie mówią tak ludzie dzisiaj.

Słuchając Goethego, rzekłbyś, że słuchasz starożytnego mędrca, Greka lub Rzymianina wykarmionego prostszą oświatą i mniej niepokojącą wiarą, wspartego na przywilejach, które z Olimpu spływały na głowy filozofów, ubezpieczonego, na zawsze straconym darem różnowagi moralnej i wewnętrznej harmonii.

Niektórzy krytycy zowią Goethego poganinem; był on raczej starożytnym. Jako mąż starożytny wielkim jest w zażyłości, a prostym w wielkości; jak człek starożytny nie zna gwałtownych wzruszeń, nie zna zwady wewnętrznej, fałszywej mety, głośnego łkania, ani chorobliwej melancholii, która, jak mówi Juliusz, „Dziś i szlachtę okoliczną zaraża”. Braterstwo *piękna z prawdą* jest jego ideałem tymże samym, który jaśniał nad Sunium. Tylko Goethe, jak Platon, radzi *prawdzie*, żeby nieco uległa *pięknu*. Poeta, który nie uznał poematu swojego zupełnym, dopóki go nie związał ze starożytnością przez ożenienie Fausta z Heleną, jest klasykiem w całym znaczeniu tego słowa.

Jest on téż jedynym klasykiem z wielkich poetów tegoczesnych. Oddając hołd należny geniuszowi Schillera, nagał namiętne jego porywy. Chciał, żeby dramat był uidealizowaną historią, jak „*Persowie*”, lub „*Siedmiu przed Tebami*”. Utrzymywał, że nikt nie postawi już bohaterów wyższych, a nawet równych Achillesowi lub Ulissesowi. Dwa te typy tak skomplikowane a tak ludzkie, wydawały mu się streszczeniem całej ludzkiej natury. Zapewne, natury starożytnej; ale co pozostawało do powiedzenia o naturze jeszcze skomplikowańszej ludzi nowożytnych, nieskończonych, niekształtnych, nienasyconych i niezadowolonych, to wypowiedział w swoim czasie Hamlet, później Manfred i Konrad, a nawet Werther, którego Goethe lekceważył, jak wszystkie swoje romantyczne utwory.

Klasyk temperamentem i geniuszem, Goethe bywał romantykiem przypadkiem, nigdy przez to nie ubliżając sztuce, której był mistrzem i kapłanem. Autor *Goetz'a z Berlichingen* nie mógł odepchnąć natchnień wiejących ze wszystkich zamczysk, w których zasnęły wieki średnie, i z pałaców, w których usnęło odrodzenie. Zresztą, chociażby żadnej nie był złożył daniny romantyzmowi, musiał go rozumieć, jako rodzaj sztuki; umysł rozległy jak natura, musiał wszystko przypuścić: burzliwe chmury, czy lazur niebios, krwawą zorzę borealną, czy złote słońce całujące czoło Parthenonu.

Goethe szukał przedewszystkiem piękna; ale skoro w nowej sztuce napotkał życie bujnie i szeroko rozwinięte, zachwycał się nim. Dlatego pokochał Szekspira. Oryginalności wymagał koniecznie; ganił więc tych, co wylamawszy się z pod formuły Eurypidesa i Sofokla, przyjęli jarzmo Kalderona lub Szekspira. W tej zmianie wzoru widział tylko przemianę naśladownictwa. Nie lubił naśladowców, ale oddawał sprawiedliwość mistrzom. Nie znał owiej zawiści poziomej, która zbroida Voltaira przeciw wszystkim poprzednikom; społecznym także nie zazdrościł niczego: dowodem jasnowidząca i wylana przyjaźń, jaką otaczał Schillera; dowodem cześć, jaką miał dla Bajrona. Nie mienił on go, jak wielu krytyków ówczesnych, samozwańcem, wichrzycielem parnasu: przeciwnie,

twierdził, że śpiewa pełnym głosem w świętym chórze geniuszów. Wielbił mianowicie bogatą wyobraźnię angielskiego poety, siłę potężną, z jaką umiał wskrzeszać pamiątki. Nie podobała mu się tylko jednostajność jego bohaterów, oraz zbyt gorzka ironia, którą wszystkie swe dzieła zaprawiał. Stawiał wyżej Bajrona, niż Tassa; ale obok genialnego poety widział drugiego człowieka, kłającego zwątpieniem natchnienie pierwszego.

Skoro przyszła wiadomość o skonie lorda Bajrona, zmarłego w walce o niepodległość grecką, Goethe obsypując go pochwałami, zawołał: „Człowiek ten pióra i czynu stanął tak wysoko, że wszelki postęp już był dlań niepodobny”!

Takąż bezstronność zachował dla innych geniuszów, podczas najdrażliwszych okoliczności.

Kiedy Niemcy miotane nienawiścią ku podbójczej Francji, w patryotycznej przesadzie, pomieszały Davoustą z Racinem, a Moliéra z Masseną, Goethe sam jeden z Germanów nie pozrywał z piedestałów cudzoziemskich bogów, bronił ich nawet przeciwko napaściom Schlegla.

Autor *Fausta* zwał zawsze Francją przybraną ojczyzną swojego ducha. Z tej *ziemi niespodzianek*, jak ją nazywał, czerpał ogień, na którym mu zbywało. Ruch romantyczny, który tu najpierw przeszedł od poezji do historii, zaciekał niezmiernie Goethego; sorbońskimi romantykami nazwał Cousin'a, Villemain'a i Guizota, ponieważ odnowili z gruntu filozofią, krytykę i historią. Berangera także nazywał romantykiem dlatego, że *powiększył drobny rodzaj* i starożytnym wierszem opiewał rzeczy społeczne. Beranger dziś potępiany przez półmędrków, był ulubieńcem Goethego; w talencie jego widział on zalety pierwszorzędne; niektóre wady drobne wytykał z surową łagodnością wielbiciela pragnącego doskonałości.

Mérimec także do ulubieńców Goethego należy; wybornie on zdefiniował tę mieszaninę sceptycyzmu i przesądu, światowego szyderstwa i naiwnej dzikości, które tak dziwnie się stapiają w dziele Mérimego, dziele dosięgającym Kalderona przez „*Klarę Gazul*”, a Eschyleśa przez „*Colombo*”.

Jeden tylko Wiktor Hugo nie został oceniony sprawiedliwie w Wejmarze. Z początku chwalił go Goethe, ale wkrótce potępił. Autor *Hernaniego*, z powodu swęj jaskrawości, kontrastów i pozornego nieładu, raził umysł czciciela harmonii i jasności.

Wyjąwszy Wiktora Hugo, którego nie zrozumiał, Goethe nawet w Rozmowach z Eckermannem ukazuje się jako nieomylny sędzia.

Czemu zawdzięczał tę moc sądzenia potężniejszą w nim jeszcze od siły twórczej? Silnej woli. Do równowagi natury swojej dodał zbawienny obyczaj niepowodowania się imaginacją. Wyobraźnia jego pozostawała zawsze pod opieką rozsądku: podobnie jak piękność małoletnia, wolną była tylko do pewnego stopnia. „Największą sztuką jest umieć się ograniczyć”, powiedział Eckermanowi. Rzecz można, iż całe życie teorią tę praktykował. Ztąd może pewna niższość Goethego poety wobec społecznych wieszczów, ale ztąd także wyższość Goethego-człowieka, objawiająca się w jego literackich doktrynach i nieomylności jego wyroków. Wiek XIX miał geniuszów więcej natchnionych, więcej ludzkich niż Goethe, ale rozleglejszej intelligencji nie posiadał.

Serdeczny przyjaciel Balzaka Euzebiusz de Salles, dorzucił kilka prawd do biografii sławnego romanso-pisarza, skreślonych przez Gozłana, Gautiego, Caro, Poitou, Pontmartin'a i wiele innych piór mniej więcej sławnych, które w powiązaniu swego nazwiska z pamięcią wielkiego nieboszczyka, upatrywały powiększenie własnej chwały. Odpowiadając tej ukrytej myśli, którą prawie zawsze znaleźć można na dnie pobudki pchającej do rozgrzebywania świeżych mogił wielkich mężów, naturalnie chwalić tylko wypadało.

Salles opowiadając prosto, jak było, i chwali i gani. Opisuje najprzód czasy, w których Balzak dopiero zaczynał się wstawiać. W roku 1831 pierwszy raz zawieszono jego portret pomiędzy znakomitościami literackimi. Wydał był wtedy świeżo *Fizyologią małżeństwa* i zaczęto go poszukiwać po salonach. Odznaczał się już wtedy nad-

zwyczajną przenikliwością i dowcipem. Pod koniec wieczora, kiedy już wyczerpano rozmowy ogólne, a grono gości ograniczyło się do kilkunastu zażyłych, Balzak zakończył posiedzenie świetną improwizacją, obfitującą w anegdoty, naszpikowaną paradoksami, pełną dowcipu i zuchwałości: improwizacją taką znajomi jego nazywali *bukietem*. Była ona owocem studyów wieczornych.

Balzak już wtedy niezmiernie zajęty książkami i dziennikami, nawet w godzinach pozornie poświęconych zabawie, myślał o pracy i do niej zbierał materiały. W towarzystwa wchodził nie dla rozrywki, ale dla studyowania ludzi. Osoby znane i uklassyfikowane w świecie wedle rangi, wad, dziwactw lub przymiotów swoich, bystry pisarz obserwował przez cały wieczór; około północy udzielał spostrzeżeń pozostałym w salonie przyjaciółom. Pochodziwszy czas jakiś z rękami w kieszeniach, stawał zwykle na środku sali, albo przed kominem i jako rewolwer o stu lufach, strzelał dowcipem.

W porównaniu z temi monologami niezrównanej wery, powiada Salles, wszystkie książki jego są niczem. Nie sadząc się, nie gubiąc w subtelnościach, jak to często zdarza mu się na piśmie, rozwijał wtedy same zalety swego umysłu. Czuł to dobrze sam. Dlatego te improwizacje natchnione wonią salonów, blaskiem strojów niewieścich, odgłosem muzyki, zapachem kwiatów i szumem wina, zwykł był notować skwapliwie powróciwszy do domu. Te też tylko karty, zdaniem pana Salles, są prawdziwie genialne, notabene, jeżeli unikły poprawek, które Balzak dokonywał bez końca na rękopiśmie.

Fizyognomia dodawała wyrazistości opowiadaniu. „Balzak otyły jak Stendhal, był od niego wyższy i brzydszy; miał płec grubą i grube usta Rabelai'go. Murzyńskie wargi zasłaniały żółtkłe i wypsute zęby, które później usiłował zasłonić rzadkim wąsem. Nos tłusty i chropowaty sterczał mu, jak ryj zwierza łakomego na trufle. Koloryt był nieco lepszy od obrysów: jagody miał różowości kanonikalnej; oko małe, ale niezrównanego blasku: oko Balzaka można porównać do nabitęj armaty, przy której zawsze lont się pali.

„Ubiór jego nie był gustowny. Umiał wybornie opisywać stroje, ale ubierać się nie umiał, chociaż miał pretensye do dawania mody. Można było widzieć na nim surduty najdziwniejszego kroju, najoryginalniejsze kamizelki; nikt ich atoli nie naśladował, a wszyscy się z nich śmiali.

„Nauki Balzak miał bardzo mało. Nie miał na to czasu. Wyszedłszy ze szkół został drukarzem; następnie uczniem u notaryusza. Potém już nieustannie pisał. Kiedyż miał czytać klasyków i chodzić na kursa chemii, fizyki, zoologii i medycyny, któremi dzieła swoje szpikował, w których zdaje się tak biegłym ograniczonym czytelnikom, a tak ograniczonym nauczynom”.

Ażeby się o tém przekonać, mówi Salles, dość przeczytać z ludźmi specyjalnemi naradę doktorów u „*Peau de Chagrin*”, w której Balzak mniemał, iż streścił wszystkie panujące wówczas systemata medyczne; dość zgłębić jego znajomość teologii, fizyki i elektryczności, którą uczynił ostatniem słowem wszech-tajemnic.

Z tego, co mówi Salles, pokazuje się, Balzak całą wiedzę swoją czerpał z dzienników. Jestto sposób tani i wygodny, ale nie pożywny: zżute mięso łatwo się połyka, ale nie karmi. Nadto, czerpanie wiedzy wyłącznie z dzienników, zaciera indywidualność. Dzienniki dają opinie gotowe o wszystkiem; ale każdy dziennik jest zamkniętém kołem, w którym wszystko powinno być solidarne: polityczne pojęcia muszą kwadrować z religijnemi, naukowe nawet muszą się do nich naginać. Kto jeden tylko dziennik czyta, uważając go za echo pojęć swoich, ten mimowiednie przestaje myśleć sam i ogranicza się na powtarzaniu zdań cudzych. Kto czyta wszystkie dzienniki, mnogość sprzecznych a logicznych wywodów, doprowadza go koniecznie do sceptycyzmu, albo obojętności zupełnej.

Szczęściem, Balzak miał tak żywą wyobraźnię, że wpływy dziennikarskie zdołała zniweczyć: na wszystkie fakta i obrazy patrzył zawsze przez pryzmat swojej fantazji. Mówią, że Neron oglądał rzymską Kampanią przez wielki rubin, który przy sobie nosił; dlatego wszystko wydawało mu się czerwone. Wszyscy poeci podobnie

czynią, choć nie wszyscy mają rubiny; bogata wyobraźnia dostarcza im drogich kamieni, dobranych do koloru duszy. Wedle humoru patrzą na świat przez rubiny, opale, szafiry i czarne dyamenty. Ztąd pochodzi, że widzą co chcą, a nie to, co jest. Wiemy, jak wyglądała Don Quichota Dulcynea; Beatricze Danta była pono w rzeczywistości dziewczęciem nie wartém wzmianki; Weneda lorda Bajrona na Lydo, wydawała się zbyt grubą nawet kapralom austriackim; Marylla... ale dajmy już pokój temu śledztwu. Chciałem tylko powiedzieć, że miłość wielkich poetów bynajmniej na korzyść ukochanego przedmiotu nie świadczy. Wdzięki te i te cnoty sam poeta roi, skrzy się, błyska i leci... jego luba stoi. I może być tak dobrze z marmuru jak z ciasta, a nawet z piernika—to wszystko jedno; bo jeżeli wesół, błoto wyda mu się perłą, a jeżeli smutny, perła błotem.

Przepraszam za uwagę wyczerpniętą z bliższej wielkich poetów znajomości. Nasunęła nam ją następująca anegdota, którą Salles na dowód fantastyczności Balzaka przytacza.

„Raz, powiada, spotkałem go przy kracie Luwru w kole ludzi przypatrujących się tańczącej dziewczynie. Stał jak wryty. Skorom go trącił, chwycił mnie za rękę i zachwycony zawołał: Jaka cudna dziewczyna! Nie patrz, zmiłuj się! bo oszalejesz z miłości. Kształt bioder Andalużki, cera Rubensowska! Jacyśmy głupi, żeby pod kłamliwymi osłony czcić urojone powaby! Tu jest wdzięk! Na ulicach Paryża można czasami spotkać cud piękności!..

„Podczas kiedy tak prawił Balzak plecami do tancerki obrócony, obejrzałem ją przez lornetkę: miała nogi jak szczudła, pierś płaską, rude włosy, rysy pospolite... słowem, była brzydka, a nawet odrażająca, bo szkaradnie brudna. Zostawiłem Balzaka w zachwyceniu, a sam poszedłem dalej, rozmyślając nad zwidzeniami poetów”.

Jeżeli realista tak patrzył, jakże patrzą idealiści?

Gaduła z Balzaka był niezmierny. Powiada Salles, że jeżeli nie mógł wygadać się tam gdzie wieczór spędzali, skoro wyszli, zatrzymywał towarzyszy na ulicy i musieli go słuchać czasem z godzinę stojąc pod latarnią. Balzak mieszkał wtedy pod Luksemburgiem, a przyjaciele jego

nad Sekwaną. Odprowadzali go tedy najprzód do Luksemburga, a skoro chcieli wracać do siebie, Balzak gadając wciąż, odprowadzał ich znowu na wybrzeże Sekwany i zaczęta pod obserwatorium perorę kończył pod Tuileryami. „Nie raz tak odprowadzając się, słyszeliśmy godzinę trzecią po północy.”

Podobnie jak Delacroix, który mniema, iż lepiej gra na skrzypcach niż maluje, a gra zawsze fałszywie; tak Balzak uroił sobie, że jest daleko większym dramaturgiem niż powieściopisarzem. Pod tym względem był śmiesznie próżny. Gozlan przytacza komiczną rozmowę Balzaka z dyrektorem Odeonu, w roku 1842, przed pierwszą reprezentacją jego komedyi „*Ressource de Quinola*.”

Zażądał od dyrektora całej sali na trzy pierwsze przedstawienia, i obiecał podzielić się z nim zyskiem „ogromnym.” Bilety, chciał sam sprzedawać. Ażeby wiedzieć co ma komu sprzedać, kazał sobie podyktować hierarchicznie nazwiska miejsc, i tak nimi rozporządził: parter, zasięda sami kawalerowie maltańscy; fotele orkiestry, parowie Francyi; łóże przed sceną zajmie dwór; nad nim ambassadorowie; w łóżach parterowych żony ambassadorów; na galerii drugiego piętra deputowani i wysocy urzędnicy; na trzeciem piętrze finansisci; na czwartém wybór mieszczanstwa. „A dziennikarze gdzie?” zagadnął dyrektor. „Nie wejdą wcale. Obejdzie się bez nich, jak bez klaskaczy.”

Na tém stanęło. Balzak zabrał tysiąc dwieście biletów i wyszedł, obiecując summy bająnskie. Byłby pewnie rozprzedał wszystkie bilety, ale się przerachował: chcąc cudów dokazać, osiadł na koszu. Dla zaostrenia ciekawości i wpędzania w górę nabywców, wymyślił *sprzedaż z przeszkodami*. Jeżeli kto zażądał łóży pierwszego piętra, Balzak wołał: „Zapóźno! ostatnią kupiła księżna Modeńska Augustyna - Augustyni. — Ależ panie, mruczał przychodzić, zapłacę co zechcesz... — Żebyś dał wszystko ztoto Tagu, nie dostaniesz łóży! bo nie ma.. Łóże były.

Podobna gra udawała się z początku; ale w końcu i przeszkody znużyły konkurentów. Cóż z tego wynikło? Na pierwszym przedstawieniu *Quinoli* sala była prawie pusta. Kawalerowie maltańscy i parowie nie dopisali.

Fakt ten jest charakterystyczny; wszystkie rachunki Balzaka takie: niby dokładne, a mylne. Znał słabości ludzkie, ale zbyt wielka miłość własna, nie dozwalała mu z nich korzystać.

Ostatnia komedia pana Sardou „Les Ganaches” ma tę jedną wadę, że podpira rzeczy mocne, bynajmniej podpory nie potrzebujące. Autor zbyt widocznie schlebia zwycięzcom a poniżej zwyciężonych. Taki sposób pisania ani charakterowi, ani talentowi nie przynosi zaszczytu. Nic łatwiejszego jak uosobić pojęcie, które chcemy wyszydzić, w człowieku śmiesznym, i kazać mu gadać głupstwa. Włóż w usta ograniczonego legitymisty przestarzałe teorie, publiczność wnet ramionami ruszy wołając: jacyż ci legitymiści zacofani! Wystaw orleanistę samolubą, a słuchacze powiedzą z niesmakiem: jakież to podłe figury! Odmaluj republikanina despotą ciemiejącym wszystko co go otacza, a zaraz większość krzyknie: jakże trafiony! Wszyscy oni tacy. Chcą wolności dla siebie. Obok tych typów postaw czwarty typ powabny dekorowany, adwokatujący zrećźnie uosobione w sobie pojęcia, a ten pewno mieć będzie słuszną, przez cały wieczór.

Proceder to odwieczny; chwalebny, jeżeli w obronie pokrzywdzonych użyty: ale jeżeli zważymy, że tu się dzieje przeciwnie, że cenzura paryzka dozwala objawiać tylko zdania pomagające do tryumfu idei, które wyobraża, przyznać będziemy zmuszeni, że taki sposób pisania użyty w dzisiejszych okolicznościach, jest po prostu schlebianiem mocniejszemu. Kazimierz Delavigne w sztuce swęj *la Popularité*, gdzie także opinie polityczne występują, postąpił inaczej: dał przeciwnikom rolę dobre, a nawet swęgo stronnictwa nie tylko prawą ale i lewą stronę pokazał. Inaczej pomiędzy ludźmi dźiać się nie powinno. Pierwszym warunkiem pojedynku czy dyskusyi *uczciwęj*, jest równość broni. Niememu możesz wymyślać jak chcesz; rzecz jasna, że ci nie odpowie.

Wytknąwszy tę skazę na duchu komedyi pana Sardou, skazę która sprawia, iż na każdym prawym umyśle sztuka ta czyni wrażenie takie jak bardzo przyjemny i ła-

dny człowiek bez charakteru, przystępujemy do skreślenia osnowy tej sztuki, uważanej słusznie pod względem artystycznym za najlepszą z nowych utworów scenicznych.

Autor przedstawił pięć typów, z których społeczność francuzka złożona: legitymistę, Orleanistę, republikanina, mieszczanina i Napoleonistę. Ostatni który jest zarazem uosobieniem postępu, wygląda powabnie; wszyscy inni mniej więcej śmieszni i niedorzeczni, a na dobitkę przezwani zelżywą nazwą „ganaszów” (czaszka zdechłego konia).

Wszystkich razem, choć z natury niezgodnych jak pies z kotem, autor dla lepszego odcieniowania, umieścił w jednym pałacu Quimperlé.

Najstarszym z ganaszów jest książę de la Roché-Péan. Wiekowy ten starzec młodym był za czasów Ludwika XV; w czasie rewolucyi emigrował; a po restauracyi wrócił dogorywać w domu przodków. Obok księcia, niby świeższa jego gałąź, stoi margrabia de la Roché-Péan, oficer gwardyi Karola Xgo, którego rewolucya 1830 r. postawiła na nogi. Major ma lat sześćdziesiąt, ale jeszcze jary i dowcipnie wyszydza teraźniejsze czasy.

Rzeczpospolitą uosabia Leonidas Vauclin, były chirurg wojskowy. Zakamieniały bezbożnik, Jakubin zażarty, mimo zupełnej światła przemiany, nosi zawsze kamizelki à la Robespierre, a wyznaje zasady Konwencyi. W obejściu brutal i tyran, w gruncie nie zły człowiek. Zbyt uczciwa mowa, że cnoty jego roztapiają się i nikną w wadach, jałkiemi go obarczył autor.

Fromental dawny fabrykant suszonego warzywa, uosabia mieszczaństwo. Jestto typ najpodlejszy: wyschły, jak jego warzywo, gniewliwy, skąpy, chciwy, przeszłość w rajskich maluje kolorach, a w piekielnych teraźniejszość, przypisując jej nawet drzące po kościach reumatyzmy.

Valereuse prowincjonalny poeta klasyczny, częstuje wciąż przestarzałemi rytmy. Do galeryi tych starych portretów, zaliczyć jeszcze należy krewną margrabiego, Rozalią, starą pannę, ograniczoną, złą i brzydką dewotkę, przesadzoną karykaturę swojego rodzaju.

Przez rozmaite kombinacye naciągane, zgromadziwszy pod jednym dachem wszystkie stany: szlachtę, stan średni, gmin i dewocją, pan Sardou zasadza ich do wista,

z czego układa się prolog pełen werwy, nader żywy i oryginalny. Przy wiście odsłaniają się charaktery i nawyknienia: mieszczanin mruczy, margrabia sztydzi, republikanin deklamuje, *rymarz* wierszuje. Kwartetowi wtóruje chrapanie starego księcia, które niby podzwonne za umarłych, rozlega się w tym przedpokoju śmierci. Rozmowa urywana krąży swoją drogą; czasami piosnka jakaś odwieczna, zanucona przez jednego z graczy, obudza wszystkich: prostują się ganasze i odpowiadają chórem echu młodości. Ta partya wista jest wyborna! Lepszej sceny w żadnej komedyi nie znajdzie.

Podczas kiedy starzy grają w karty, wchodzi do pokoju piękna dziewczyna. Jestto Małgorzata Dervin, córka siostry margrabiego, która była poszła za mieszczanina i z tego powodu szlachetna rodzina znać jej nie chciała aż do śmierci. Po skonie matki, Małgorzata chce się pogodzić z krewnymi. Margrabia przyjmuje sierotę z otwartymi rękami; ale wypada jeszcze przebłagać dziada. Budzą starego. Małgosia klęka przed nim... on poznaje w niej rysy matki i płacząc przyciska dziecko do piersi.

W drugim akcie Małgorzata rządzi samowolnie w domu. Wszyscy ganasze kochają się w niej potrosze, upatrując wszelkiego rodzaju doskonałości; jedna tylko panna Rozalia dopatrzyła występku. Szpiegując ciągle Małgosię, zeszła ją raz patrzącą przez okno na młodzieńca chodzącego za kratą od podwórza. Zrobiwszy to odkrycie, zbuntowała przeciw dziewczęciu starców: wszyscy powstają na nią, a mianowicie zżymają się na nieznanomego.

Marceli Cavalier (tak się zwie nieznanomy), nic nie wie ani o miłości, ani o nienawiści jaką zapalił. Jestto młody inżynier, którego Małgorzata widziała kiedyś w domu matki, a który teraz chodzi koło pałacu la Roché-Péan, mierząc grunt, przez który ma iść kolój żelazna.

Kiedy w salonie wre zwada, drzwi się otwierają, i znienawidzony przez okno młodzik wchodzi oświadczyć właścicielowi iż będzie wywłaszczony „z powodu użytku publicznego”. Łatwo sobie wyobrazić gniew starego księcia. Komedia zmienia się w proces, a scena w salę sądową. *Rutyna* występuje z mową przeciw postępowi, ten się broni, lokomotywa rozbija dylizans. Scena koń-

czy się przekleństwem, które stary szlachcic rzuca na nowe prawa, drogi żelazne i inżynierów.

W trzecim akcie Małgorzata schnie z tęsknoty za Marcelim, który nic nie wiedząc o miłości, poszedł, i więcej nie wrócił.

Leonidas Vauclin, najlitościwszy z ganaszów, zbadawszy powód cierpień Małgorzaty, sprowadza Marcelego, nic mu nie mówiąc o co chodzi. Tu następuje ładna scena: Marceli przychodzi odwiedzić chorą znajomą; ona myśląc że przychodzi prosić o jej rękę, otwiera przed nim duszę, patrzy nań oczyma pełnemi płomiennego czucia... Młodzieniec widząc że jest kochanym, kocha wzajemnie, pada do nóg i oddaje jej to serce, którego z tak zuchwałą domagała się niewinnością.

Ale dziadek o małżeństwie słyszeć nie chce. Wypędzają z domu Marcelego. Małgorzata w rozpaczy pragnąc śmierci, otwiera okno i lekko ubrana staje w mroźném powietrzu, które lekarz zabójczém nazwał. Kochanek spostrzega ją z ulicy, wchodzi na balkon i porywa.

Ten gruby melodramatyczny wypadek razi w subtelnej komedyi. Ostatni akt psuje do reszty wybornie zaczęta sztukę: niepodobieństwa następują szeregiem, zajęcie upada. O Małgorzatę nikt się nie troszczy, bo zbyt często umierała i zmartwychwstawała; opór starego księcia nikogo nie straszy, bo zgrzybiały ustąpić młodym musi. Jakoż nasadzają na niego księdza, który w przeciągu pięciu minut wyłożywszy korzyści małżeństw mieszanych, otrzymuje aprobacją. Książe wychodzi z powagą i daje swoje szlacheckie zezwolenie inżynierowi: rzekłbyś biskup błogosławiący lokomotywę.

W końcu następują jeszcze dwa nawrócenia: margrabia wraca z Paryża olśniony gazem, wielbiący makadam i fotografie; posłany zaś po księdza Leonidas, staje się ortodoxem.

Nic fałszywszego jak takie nagłe przemiany ludzi zeszłego wieku. Materyalizm ich stał mocno, na kwadratach i trójkątach, na anatomicznych wykazach, na naukach nie szerokich, ale głębokich, powiązanych z sobą silnym łańcuchem, którego zerwać jak pajęczęj nitki nie można, ani nawet osłabić modlitewką dziewczęcia. Zwyciężył go,

mógł tylko tryumf rozumu, praca logiki, światło, jak grom umysł piorunujące.

Ostatecznie, prócz wady zasadniczej na początku wskazanój, *Ganasze* łączą w sobie wszystkie wady pisarskie pana Sardou. Komedia nie jest odlana z jednej sztuki, ale uklejona z kawałeczków, ciągle wiązanie czuć, prostego toku życia nigdzie. Wypracowane to, wysmażone, pięć razy przepuszczone przez alembik mózgowy; same obrazyk potoczne, nigdzie genialnego zakroju. Ale darmo domagać się czego innego; dziś same tylko tego rodzaju sztuki piszą w Paryżu: ta do najlepszych należy. Nawet pamięć śmiałej budowy dawnych zaginęłaby pewnie, gdyby nie wznowienia, które od czasu do czasu, jako kamerton teatru, zadzwonią, i umilkną bez echa.

— Wznowiony *Monte-Cristo* ukazał się w *Gaîte* znacznie krótszy jak przed czternastu laty. Wtedy dzielono na dwa wieczory dramat przerobiony z romansu, który potrzebował trzech lat żeby się rozwinąć w fejtynie.

Dziś możeby się już nie udało Dumasowi pozyskać sztuce tylu cierpliwych słuchaczy. Dlatego, dziesięć aktów zbito w pięć. Bohater nie przez to z uroku swojego nie utracił: ów ciemieźony człowiek, przeobrażony przez bogactwo i czyniący sprawiedliwość, po nad kodeksem i trybunałami, pozostał równie jak dawniej sympatycznym. Hrabia *Monte-Cristo*, to ze złota odlany posąg komandora, schodzący złych przy sprosny bankiecie. Oświata tegoczesna tak jest zawila, tak pochłaniająca; władza trzyma ludzi tyloma rękami, legalność tyloma węzłami krępuje; prawo natury i wolny wybór tak uciemieźone się czują przez formalności i kowencye życia społecznego, że wzór *sprawiedliwego*, obdarzony wszechpotężną mocą nagradzania dobrych a karania złych, urzeczywistnia ideał powszechności, bo zadawalnia tajemny instynkt każdego. Najsłużebniejsi zachowują gdzieś w skrytce duszy trochę niepodległości dzikiej i bohaterzkiego barbarzyństwa. Zawilosci tegoczesnego świata każą niekiedy żałować sprawiedliwości nagłej wieków pierwotnych. Któż nie potwierdza wyroków *wolnych sędziów* i usiłowań wolnomularskich. Otóż, *Monte-Cristo* jestto błędny rycerz średniowieczny, we fraku. Ta jedna zachodzi między nim

a nimi, różnica: jak tamci, prostuje krzywdy, karze zbrodnie; zależy tylko od swego skarbu i sumienia, jak tamci od swój lancy i *dobrego prawa*.

Niegdyś zachwycający dramat odnalazł w Gaitte dawne powodzenie: galerya romantycznych obrazów i scen wrzających, wprawia widzów w gorączkę..... Afrykańska bo krew krąży we wszystkich utworach Dumasa. Niektóre sceny jak zmory siadają na piersiach i duszą... darmo powtarzasz sobie: to zmyślenie! nic nie pomoże, po tężna wyobraźnia autora pochwyca cię całego i miota tobą jak słomką, chcesz czy nie chcesz—wygrywa co jej się podoba na wszystkich strunach twego serca i umysłu. Wychodzisz z teatru wzruszeniami zbity: jak gdybyś przez kilka godzin sam żył życiem gwałtowném przedstawionych osób, tak dalece pisarz umiał fikcyą ożywić płomiennym i kolorowym swym geniuszem.

— Nowy Teatr Liryczny okazałą reprezentacyą otworzył szereg przedstawień, zalecających się daleko lepszym smakiem jak te, które teraz w Operze Wielkiej widzimy. Cała trupa starannie dobrana wystąpiła tego wieczora przed publicznością. Rozpoczęto *hymnem do muzyki*, ułożonym umyślnie na tę uroczystość przez pana Gounod. Hymn jest piękny, bo pan Gounod celuje w muzyce uroczystej: na orkiestrze gra jak na organach. Następnie biegła śpiewaczka pani Miolan-Carvatho, odśpiewała arya z opery *Reine Topaze* „Pieśń pszczół” arcydzieło harmonii naśladowczej. Tony, jak skrzydlate owady, to krążą w promieniu słońca, to znikają w kielichach kwiatów... dźwięk przybliża się, to oddala, słabnie, mocniej, zawsze powietrzny, czysty i luby jak wierszyk Bohdana Zaleskiego.

W dalszym ciągu koncertu dramatycznego, odegrano *Ave Maria* Bach'a, ułożone w sextet przez Gounoda, z towarzyszeniem fortepianu, organów i skrzypców. Modlitwa nie z pierwotnej piękności nie utraciła: Gounod rozszerzył skrzydła anioła, ale głosu jego nie zmienił.

Po tém zabrzmiała świetna uwertura z *Oberona*; po niej duet bachiczny z *Porwania z Seraju*, i inne. wyjątki z oper wielkich mistrzów. Była to introdukcya do ostatniego aktu *Orfeusza*, który pani Viardot, kapłanka mu-

zyki tragicznej, ze zwykłą sobie odegrała doskonałością. Przez nią odśpiewana aria „Straciłem moją Eurydykę” gdzie pieśń boleści w rzeczywiste łkanie się zmienia, niezawodnie nie ma sobie równej w całym śpiewnym repertuarze rozpaczy.

Wyjątki z *Wesela Figara* stanowiły finał. Na nich zakończył się długi przegląd muzycznych arcydzieł, wróżący dobrze o przyszłości nowego teatru.

Oddawna dawaliśmy Teatrowi Lirycznemu pierwszeństwo nad Wielką Operą. Teraz osadzony we własnym domu z dobraną trupą, stanie się pierwszym dla wszystkich miłośników muzyki, jeżeli Opera Komiczna nie postara się o śpiewaków, a Opera Wielka nie przestanie zajmować się wyłącznie baletem.

Urządzenie wewnętrzne sali jest wzorowe: przystęp łatwy, ozdoby gustowne, akustyka doskonała. Wygoda łączy się tu z przyjemnością.

Włoski Teatr po staremu włoskich mistrzów chwali. Jedna z wdzięcznych jego ozdób, Frezzollini powróciła ze swój około świata wędrowki, i znowu występuje w *Lucyi* i *Rigoletto*, gdzie ją dotychczas nikt nie przewyższył.

Frezzollini zwykłej publiczności nie podoba się wcale: nie ma ani ciała ani głosu, ale dla wybranych ma wdziek niezrównany: piękność stylu, delikatność muzycznego czucia, zachwycająca. Głos jej najwłaściwiej porównać do znikającego fresku, których tyle widać po murach włoskich: malowidło niby zamdlone, zaciera się harmonijnie; prześliczne głowy sterczą nad roztopionym ciałem, na białych ustach wdzięczne igrają uśmiechy, z okrągłego ramienia pozostał tylko gest. Ciało arcydzieła znikło, pozostała tylko jego dusza jeszcze zachwycająca.

Takim jest śpiew Frezzollini. Podobnie musiała śpiewać w czyscu dusza, która zachwycała Danta.

Świeżo przybyła z Ameryki śpiewaczka panna Patti, jest gwiazdą nad Włoskim Teatrem wschodzącą: upatrują w niej nową Sontag. Patti ma lat dziewiętnaście, a wygląda na piętnaście. Jest drobniuchnych rozmiarów: poważna naiwność, wdziek jej stanowi; głos jej dzwięczy jak złoto; igrając wydzwania rulady, nad któremi się wykrzywiały najbieglejsze śpiewaczki. Aktorka z niej także

bardzo dobra. Słowem jest to wdzięczne dziecko z gałę-
kiem majowego słowika. Obsypano ją kwiatami. Przy-
jęcie było nader gorące, mimo uprzedzeń które tu zawsze
towarzyszą sławie patentowanej za granicą.

Przygotowują w Brukselli nowe wydanie ostatniego
dzieła Micheleta, które wyszło w Paryżu pod tytułem:
Czarownica, a z którego wyjątki podaliśmy w przedostat-
niej naszej kronice. Wydanie brukselskie ma być znacznie
większe od paryzkiego.

— Juliusz Sandeau wydał nowy romans pod napi-
sem „*Un début dans la magistrature*”. Jestto jedna z tych
przedziwnych powieści jakie tylko autor *Doktora Herbeau*
pisać umie: pełna prostoty, elegancyi i subtelności a wy-
dająca się jak żywe opowiadanie prawdziwego wypadku.

— Wyszedł czterdziesty czwarty poszyt „*Grandes
Usines de France*” Turgan’a. Zawiera opis omnibusów
paryzkich (*Carrosserie, exploitation*).

— Chamfleury wydał ważną dla artystów pracę pod
napisem: „*Les Frères Le Nain, les peintres de la réalité
sous Louis XIII*”.

